NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 21.000·— Mk. z przes. 24.900·—Mk. Półrocznie 48000·— Mk. Rocznie 96000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza mil.m. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Numer pojedynczy 2000 Marek.

Rok XX. Kraków, 9 czerwca 1923. Nr. 23.

Uniwersytet lwowski powstańcom 63 r.



Uroczystość nadania doktoratów honorowych siedmiu uczestnikom powstania 1863 r.

Uniwersytet lwowski powstańcom 63 roku.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Spełniły się wreszcie nasze marzenia, za które walczyli i ginęli bohaterscy uczestnicy walk o niepodległość Polski. Z pośród nich nie wielu zostało przy życiu weteranów 63 roku. A tym, którzy dożyli szczęśliwej chwili wskrzeszenia państwa polskiego, należy się hołd i cześć. Objawem takiego hołdu była piękna uroczystość nadania doktoratów honorowych siedmiu uczestnikom powstania 63 r. przez Uniwersytet lwowski. Honorowy tytuł doktora teologii otrzymał X Dr Władysław Chotkowski, b. prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktorat prawa Wojciech Biechoński, prez. Towarzystwa uczestników powstania i senator Bolesław Limanowski. Doktorat medycyny otrzymał Ag. Kwaśnicki, lekarz, filozofii Maryan Dnbiecki, Benedykt Dybowski oraz inż Zygmunt Mineyko.

Na uroczystość zebrali się w auli senat z rektorem, przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, reprezentanci świata naukowego i liczni goście. Po odegraniu hymnu przez orkiestrę i po śpiewie chóru akademickiego przemówił rektor Narajewski i prof. Zakrzewski. Wreszcie po odczytaniu dyplomów przemawiał imieniem odznaczonych Dr Władysław Chotkowski, poczem chór odśpiewał Gaude Mater, a orkiestra odegrała hymn narodowy.



Uniwersytet lwowski powstańcom 63. roku: Nadanie doktoratów honorowych powstańcom 63. roku (siedzą): ks. dr. Chokowskiemu, dr. Limanowskiemu, dr. Dubickiemu, dr. Biechońskiemu.
Fot. M. Münz, Lwów.

Manifestacyjny pogrzeb ofiary zamachu w Uiwersytecie warszawskim.

Dla oddania hołdu ofierze potwornego zamachu w murach uniwersytetu warszawskiego, ś. p. prof. Orzęckiemu, zgromadziły się tłumne zastępy zarówno w świątyni św. Krzyża, jak na ulicach przyległych. Mało szerszym masom jako cichy badacz znany, ś. p. prof. Roman Orzęcki przez swą śmierć męczeńską stał się symbolem walki, jaką naród polski musi staczać z ciemnemi siłami, które pracują na zgubę jego i państwa. We wspólnem odczuciu treści wewnętrznej manifestacyi żałobnej tkwiło potężne *sursum corda* dla mas społeczeństwa, zebranych przy trumnie ś. p. prof. Orzęckiego.

Tłumy wcześnie ustawiły się wzdłuż linii pochodu od wylotu ul. Świętokrzyskiej aż do kościoła PP. Wizytek i na ul. Traugutta. Na znacznej przestrzeni rozwinął się szpaler sztandarów instytucyi, należących do Zjednoczenia polskich stowarzyszeń. Trumnę ze zwłokami ustawiono pośrodku nawy głównej świątyni na wysokim katafalku, osłoniętym z boków szeregiem wieńców, przeważnie z białych kwiatów. Fotele z prezbiteryum zajęli przedstawiciele wyższych uczelni, rządu, senatu, sejmu i wojskowości. Mszę świętą przy głównym ołtarzu odprawił ks. dziekan prof. Michalski w licznej asyście księży-słuchaczów wydziału teologicznego. Na chórze wykonano pieśni żałobne przy towarzyszeniu organów i orkiestry. Z kazalnicy w potężnych słowach żegnał zmarłego prof. Antoni Szlagowski, mówiąc o jasnej postaci zgasłego tak tragicznie męża nauki i oświadczając, iż mowa nasza nie ma słów dość silnych dla potępienia sprawców bezmyślnego, dzikiego zamachu.

Zdjęto następnie trumnę ze zwłokami z katafalku i poniesiono przy dźwiękach marsza Chopina do wozu żałobnego. Przodem kroczyli przedstawiciele wyższych uczelni. Za nimi słuchacze z wieńcmi w dłoniach. Orszak żałobny prowadził ks. prałat Szcześniak w bardzo licznej asyście duchowieństwa świeckiego i zakonnego.

Po obu stronach wozu żałobnego kroczyła warta honorowa, złożona z przedstawicieli polskich korporacyi akademickich ze sztandarami wszystkich korporacyi, spowitemi w krepę i z obnażonemi szpadami. Kordon po obu stronach ulicy, zapełnionej głowa przy głowie masami ludności, tworzyli studenci.

Ze świątyni orszak żałobny podążył na podwórze Uniwersytetu. Przed wejściem do gmachu głównego, gdzie balkony przykryto kirem, ustawili się przedstawiciele władz i różnych grup społeczeństwa. Prezydenta Rzeczypospolitej reprezentował w żałobnej uroczystośct szef kancelaryi wojskowej rotmistrz Pusłowski, wojskowość zaś p. o. dowódcy okregu korpuśnego jen. Pogorzelski, za-



Manifestacyjny pogrzeb ofiary zamachu w Uniw. warszaw.: Przemówienie rektora Łukasiewicza z balkonu gmachu uniwersyteckiego nad trumną ś. p. prof. Romana Orzęckiego.
Fot. Ajencya fot., Warszawa.

rząd miasta prezes rady miejskiej senator Ignacy Baliński.

Obszerną przestrzeń przed gmachem głównym Uniwersytetu wypełnili słuchacze i słuchaczki wyższych uczelni.

Gdy wóz żałobny stanął przed portykiem, z balkonu, gdzie zebrał się senet Uniwersytetu, przemówił rektor prof. Łukasiewicz. Mówił o życiu



Mozaiki w kościele OO. Jezuitów w Krakowie: „Św. Krzysztof" według projektu artysty malarza Stroynowskiego.

zmarłego i jego doniosłych zasługach naukowych. Wspomniał z bólem głębokim o tragedyi, która przecięła pasmo pracowitego żywota uczonego i wezwał, aby zwyczajem Uniwersytetu poraz ostatni pochyliły się berła uczelni.

Chór akademicki wykonał następnie śpiewy żałobne.

Przy dźwiękach marsza żałobnego, odegranego



Mozaiki w kościele OO. Jezuitów w Krakowie: „Ukrzyżowanie" według projektu art. mal. Stroynowskiego.

następnie przez orkiestrę policyjną, orszak wyruszył na cmentarz Powązkowski.

Na czele pochodu żałobnego kroczyły ze sztandarami delegacye młodzieży akademickiej, zjednoczenia, stowarzyszeń warszawskich, wioślarzy, „Sokoła" i t. d., po obu stronach karawanu — szpaler reprezentantów korporacyi akademickich ze sztandarami.

Za trumną postępowała rodzina zmarłego, reprezentanci świata naukowego, władz rządowych, organizacyi społecznych, młodzież akademicka itd.

Podczas przejścia przez Plac Teatralny, kondukt żałobny zatrzymał się na chwilę przed gmachem teatru Wielkiego, gdzie zgrupowali się artyści i personal teatralny, przyczem orkiestra opery odegrała marsz żałobny.

Przed gmachem Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej zgromadzili się tłumnie jej urzędnicy ze swym sztandarem, oddając w ten sposób hołd pamięci zamordowanego profesora.

Po przybyciu na cmentarz i odprawieniu przez duchowieństwo egzekwiów, przemawiało kilku mówców. Pierwszy z nich, dziekan wydziału prawnego, prof. Strasburger, podniósł wybitne zasługi naukowe zmarłego kolegi.

Następnie zabrał głos, imieniem młodzieży akademickiej, p. J. Rabski, poczem przemawiał delegat studentów Uniwersytetu lubelskiego.

Uroczystość żałobną zakończyło odśpiewanie przez chór akademicki pieśni „W mogile ciemnej", poczem obecni rozeszli się, pozostawiając świeżą mogiłę, kryjącą ofiarę potwornego terroru.

Mozaiki w kościele OO. Jezuitów
w Krakowie.

Najmłodszy co do daty powstania między czterdziestu kilku kościołami „polskiego Rzymu", — kościół OO. Jezuitów, pod wezwaniem N. Serca Jezusowego, przy ul. Kopernika, posiada niezaprzeczenie wspaniałe wnętrze, czyniące o wiele



Manifestacyjny pogrzeb ofiary zamachu w Uniw. warszaw.: Orszak pogrzebowy ś. p. prof. Romana Orzęckiego przed Uniwersytetem. Fot. Ajencya fot., Warszawa.



Mozaiki w kościele OO. Jezuitów w Krakowie: „Dobry Pasterz“ według projektu art. malarza Stroynowskiego.

artystyczniejsze wrażenie, niż zewnętrzny wygląd tej świątyni.

Do szeregu dzieł o wysokiej wartości, jakie zdobią to wnętrze, przybyły jeszcze nowe, ostatnimi czasy. Są to mianowicie ogromne obrazy mozaikowe, wykonane już częściowo przez Br. Wojciecha Pieczonkę T. J. wedle oryginałów artysty malarza Leonarda Stroynowskiego. Obrazy te, w liczbie sześciu, z tematami poczerpniętymi z N. Testamentu a wybranymi przez artystycznego kierownika budowy rzeczonego kościoła, O. Józefa Tuszowskiego T. J. znajdą pomieszczenie na polach między łukami oddzielającymi nawę główną od naw bocznych.

Podane w dzisiejszym numerze reprodukcye kilku oryginałów Stroynowskiego dają pojęcie o ich walorach malarskich pod względem kompozycyi i rysunku, którym dorywnywują walory kolorystyczne.

Tło wszystkich sześciu obrazów, wykonanych w mozaice z wielką precyzyą, jest złote. Sprawia ono nadzwyczaj szczęśliwy efekt, jak o tem przekonać się można z obrazu wmurowanego już w ściany nawy głównej, a którym jest „Dobry Pasterz“.

Obraz „Ukrzyżowanie“, odznaczający się głębokim nastrojem dramatycznym, znajdzie pomieszczenie na jednej ze ścian kruchty kościoła, a „Św. Krzysztof“ będzie zdobił przedsionek.

Marszałek Foch w Czechach.

Czesi nie entuzyazmowali się zbytnio francuskim marszałkiem, który będąc jednocześnie marszałkiem polskim, a nadto gościem politycznym z jasnym celem wizyty, był niezbyt szczerym naszym pobratymcom z nad Wełtawy gościem trochę żenującym. Co pomyślą Niemcy o podejmowaniu Focha? i jak z tego wybrnąć? — były kwestyami programu przyjęcia, które też wypadło blado i dość chłodno. Pogrążeni w rzekomej żałobie po ś. p. żonie prez. Masaryka ograniczyli się do suchej parady oficyalnej na mieście i koniecznych recepcyi u najważniejszych osobistości Republiki. Marszałek Foch miał oddane sobie do dyspozycyi apartamenta na zamku Hradczyńskim. Najważniejszymi były dwie oficyalne parady, urządzone na cześć gościa: jedna na ratuszu, gdzie wręczono Marszałkowi dyplom honorowego obywatela i druga wielka rewia wojskowa dla pokazania gościowi postawy wojsk Republiki.

Przed wyjazdem udał się Marszałek w towarzystwie min. Benesza, na historyczne pola bitwy pod Sadową.

Z bolszewickiej Rosyi.

Rosya bolszewicka tem się różni od dawniejszej, carskiej, że carat jakby odwrócił się do góry nogami, a zamiast carskich tyranów rządzą tam czerwoni czynownicy, tylko bardziej dzicy, bardziej krwawi. Zmieniły się również t. zw. „galówki“. Dawniej obchodzono je w imieniny członków domu panującego — dziś taką oficyalną „galówką“ stał się dzień 1 maja. Wszystko odbywa się „po prikazu“, a cały obchód „święta proletaryatu“ sprowadza się do oficyalnej uroczystości, w której biorą udział grupy sytych i dobrze ubranych „burżujów“ sowieckich.



Marszałek Foch w Czechach: Powitanie marszałka Focha na zamku Hradczyńskim w Pradze.



Z bolszewickiej Rosyi: Uroczystości w dniu 1. maja w Petersburgu. Pianino na automobilu uprzyjemnia czas manifestantom.

JADWIGA MIGOWA.

Dom, którego nie było...

3) Historya osobliwa.

— Wybornie!... O kosz szampana?

— Nawet o dwa!... Będziecie płacić!...

— Masz widać za dużo pieniędzy Zygmusiu, bo chcesz koniecznie płacić!..

— Panowie i panie!... próba się zaczyna!...

— No, chodźmy na próbę — bo stary gotów kary wsypać, a zakład rozstrzygniemy później.

Po skończonej próbie rozłożono mapę, na której Korabiec zaczął szukać Doliny Krokusów.

— O! tu... tu powinna być..

— Ale naturalnie niema!... Płacisz szampana, braciszku...

— Wcale nie... Poprostu mapa niedokładna... Musimy znaleźć dokładniejszą, a wtedy przekonacie się...

— To chodźmy do księgarni — do Arcta...

W księgarni Korabiec zażądał:

— Proszę mi dać mapę Podhala, tylko najdokładniejszą jaka istnieje..

— Służę tą oto — rzekł subjekt, rozkładając mapę — znajdzie pan na niej każde osiedle, każdą halę...

I na tej mapie tak dokładnej, tak drobiazgowej Doliny Krokusów nie było.

— No i cóż teraz? płacisz nareszcie szampana — śmiali się aktorzy. — Przyznasz się, żeś zblagował?

— Nic nie zblagowałem.

— Ale Dolina Krokusów nie istnieje?

— Istnieje.

— Słuchaj ty albo sobie z nas bimbasz — na gruby kamień, albo masz kręćka!...

— Albo chce się wykręcić od płacenia szampana...

— Szampana wam zapłacę, ale Dolina Krokusów — powtarzam — istnieje!...

Istnieje!... istnieć musi!... Wszak on Korabiec spędził tam najpiękniejsze dwa tygodnie swego życia — razem z Dorotą Odrowążanką...

Dorota!...

Ogarnęła go szalona tęsknota za jej spojrzeniem niezgłębionem, za jej stąpaniem bezszelestnem, za jej głosem słodkim a silnym...

Czemże wobec Doroty jest Rena?... czem wszystkie inne kobiety — choćby najpiękniejsze!...

— Odnajdziem się jeszcze! — obiecała mu.

O tak!... odnajdą się, bo skoro tylko uwolni się od teatralnych zajęć — pojedzie do niej — do Lanckorony...

Dorota Odrowążanka!..

A ci głupcy, ci ignoranci twierdzą, — że Dolina Krokusów nie istnieje!...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Następnego dnia od samego rana rozpoczął Korabiec wędrówkę po księgarniach, wertując mapy, przewodniki po Podhalu, aby w nich znaleźć realny dowód istnienia Doliny Krokusów.

Napróżno!...

Żadna mapa, żadna książka nie wspominała o Dolinie Krokusów!...

Korabiec niezmordowany pospieszył do biura Towarzystwa Etnograficznego, potem na pocztę... I znowu ten sam rezultat... absurdalny rezultat!...

Dolina Krokusów nie istnieje!... Nonsens!... Toż przecież jest przy zdrowych zmysłach, nie śniło mu się, nie miał halucynacyi...

Nagle przypomniał sobie, że stara kobieta czarno ubrana, która go wysłała do Doliny Krokusów ma mapę, na której wyraźnie zaznaczono tę piękną miejscowość!... Trzeba do niej pójść, pożyczyć tej mapy i przekonać wszystkich, że Dolina Krokusów nie jest wcale fikcyą...

Zapamiętał ulicę Świętojańską i numer domu, więc odnalezienie kamienicy, w której mieszkała jego protektorka nie sprawiło mu żadnych trudności.

Ze zdziwieniem skonstatował wszakże, że dom jest dwupiętrowy... Ani śladu jakiegoś trzeciego piętra czy facyatki...

Korabiec zapukał do mieszkania stróża i wręczywszy mu naprzód sowity napiwek, zapytał!

— Kiedyż to zrzucono III-e piętro?

Stróż wytrzeszczył oczy.

— Trzecie piętro? Tu nijakiego trzeciego nie było.

— A dawno pan tutaj jest stróżem?

— Na św. Michał skończy się sześć lat.

— Czyżbym się pomylił? — myślał Korabiec — a byłbym przysiągł, że to na trzeciem piętrze mieszkała ta kobieta. Jak to jednak pamięć zawodzi!...

I badał dalej:

— A gdzie mieszka tutaj — taka pani — stara już, wysoka, szczupła, czarno ubrana?

Stróż pokręcił głową:

— Stara? wysoka? szczupła? czarno ubrana? Taka tu nie „miszko". Je pani Wątróbkowa — stara, ale w sobie grubaśna i krótka... Znowuś pani Osmółkowska nosi się czarno, bo jej ojciec „pomer", ale ta nie będzie miała jak dwadzieścia pięć lat...

— Pan zna wszystkich lokatorów?

— To się wie!...

— Więc napewno nie mieszka?

— Ani dudu!...

— Może się wyprowadziła w ciągu dwóch ostatnich tygodni?

— Nikt się od pół roku nie wyprowadzał!...

Korabiec opuścił izbę stróża zadumany. Nie wiedział co ma o tem myśleć. Czyżby się pomylił co do numeru domu? To jedyne możliwe wytłómaczenie. Trzeba więc przetrząsnąć całą ulicę Świętojańską... Ale jak to zrobić? Trudno niepokoić wszystkich mieszkańców tej ulicy. Wziętoby go za waryata.

W kamienicy, z której wyszedł, mieściły się na dole trzy sklepy i magiel kołowa, mały sklepik spożywczy i antykwarnia, gdzie na wystawie widniało kilka starych książek, wyszczerbiony antyczny wazon i zjedzona przez mole niegdyś piękna makata.

Korabca pociągnęło coś, aby wejść do antykwarni. Może antykwarz udzieli mu jakichś wskazówek.

Udał, że szuka jakiejś książki, której w sklepie naturalnie nie było, a potem zagadnął antykwarza:

— Proszę pana, czy pan przypadkiem nie zna... nie spotykał tu na ulicy Świętojańskiej takiej starej pani, wysokiej, szczupłej — czarno ubranej... Oczy ma ciemne, głęboko zapadłe i staroświecką koronkową mantylę?...

Antykwarz palnął się ręką w czoło:

— Spotkałem, panie, spotkałem!... Taka kobieta była u mnie wczoraj...

Korabiec ucieszył się.

— Nie wie pan jak się nazywa?

— Nie mam pojęcia.

— A gdzie mieszka?

— Także nie wiem. Ale to jakaś dziwna jejmość... Tak mnie „zamaniła", żem kupił tę oto książkę i zapłaciłem bez targu, choć z pewnością na tem stracę!...

Z pośród stosu opylonych książek wydobył jakiś stary druk. Korabiec chciwie pochwycił książkę i przeczytał tytuł „Czary i czarownice".

— Ja tę książkę kupię. Ile żąda pan za nią?

Antykwarz wymienił kwotę.

— Żądam tylko tyle, ile za nią zapłaciłem... Nie chcę na niej nic zarobić. To, panie, jakaś przeklęta książka. Od chwili, kiedy ją kupiłem prześladuje mnie twarz tej starej...

Korabiec zapłacił, wziął książkę i wyszedł. Pospieszył do domu, gdzie zaraz zaczął przerzucać kartki starego druku i oglądać zdobiące go sztychy.

Oczy jego zatrzymały się na sztychu, przedstawiającym palenie czarownicy na stosie. Ze zdumieniem rozpoznał Korabiec w rzucanej w płomienie czarownicy — swoją nieznajomą z prosceniowej loży.

Tak! ta sama twarz!... Co za zadziwiające podobieństwo!... Ale to bywa...

Przeczytał tekst odnoszący się do sztychu i dowiedział się, że na stosie spalono Roku Pańskiego 1368 r. czarownicę Krystynę Danielecką, która posiadając pierścień, ofiarowany jej przez szatana, przy pomocy tego klejnotu z piekła rzucała na ludzi czary... Następował dokładny opis pierścienia... Miał kształt węża, którego oczy świeciły nieznanymi złotnikom czarno-zielonymi kamieniami... Na wewnętrznej stronie tego pierścienia wyryte były tajemne znaki, zrozumiałe tylko dla czarownicy...

Korabiec wstrząsnął się. Przebiegł go zimny dreszcz. Odłożył książkę.

Co za dziwny zbieg okoliczności!...

Czuł się jednak tak zdenerwowany, że nie zdolny do wszelkiej pracy. Nie mógłby teraz iść na próbę...

Wpierw rozwiązać musi dręczącą go zagadkę i odszukać Dorotę Odrowążankę. Pospiesznie napisał do dyrektora bilecik, że niecierpiące zwłoki interesy zmuszają go do natychmiastowego wyjazdu.

ROZDZIAŁ V

Pani na Lanckoronie.

Korabiec wysiadłszy w Kalwaryi, zapytał o drogę do Lanckorony. Wskazano mu ją.

— O! tędy prościutko dojdzie pan do Lanckorony...

— A do zamku?

— A do zamku — to na górę. Droga sama zaprowadzi.

Dzień był pogodny, słoneczny, nabłękitniony. Przegrzane powietrze nasiąkło aromatem ziół dzikich i zapachem dojrzewających zbóż. Korabiec czuł się doskonale. Zdenerwowanie jego pierzchnęło. Był wesół, rześki, miał ochotę śmiać się głośno.

Zobaczy zaraz Dorotę i opowie jej o dziwacznych urojeniach tych głupich ludzi z wielkiego miasta, którzy zaprzeczają istnieniu Doliny Krokusów!...

Szedł przed siebie, a wedle wskazówek swego informatora, zboczywszy z bitej drogi zaczął piąć się pod górę, pośród krzaków i wysokich traw.

Dziwił się nieco, że zamku nie widać zdaleka. Ale zdziwił się jeszcze więcej, kiedy znalazłszy się na szczycie góry, ujrzał porosłe zielskiem ruiny... Z zamku pozostały tylko odłamki murów...

— Co to ma znaczyć?! — ale zaraz znalazł wytłómaczenie

— Widocznie w Lanckoronie są dwa zamki... Jeden stara ruina, który zwiedzają turyści i drugi siedziba Doroty Odrowążanki.. Ale gdzież ten drugi zamek?! Jak to niedobrze, jeżeli się nie zna własnego kraju...

Zszedł na dół do Lanckorony, aby tam zasięgnąć informacyi. Zobaczywszy na szybie szklanych drzwi napis „tu wyszynk wudek i wszelkich tronków" — postanowił wejść.

Ponieważ uczuwał pragnienie, kazał sobie podać butelkę piwa. Pijąc, wdał się w rozmowę z szynkarzem:

— Którędy tu się idzie do zamku panny Doroty Odrowążanki?

— Do zamku? A toć pod górę.

— To do ruin, ale do tego drugiego zamku?

— U nas niema żadnego innego zamku.

— A gdzież mieszka panna Dorota Odrowążanka?

Szynkarz spojrzał na żonę i oboje przeżegnali się.

— A pocóż to pan o nią pyta? No, rozumie się, że ona w zamku... bo gdzieżby była?

— Więc gdzież ten zamek?

— A na górze!

— Jakto? te ruiny?!

— No juści, ona w tem starem zamczysku straszy, ale nie daj, Panie Boże, panu ją spotkać!...

— Dlaczego? — wyjąkał przerażony już.

— Bo kto ją zobaczy — to ani chybi przed Nowym Rokiem zwaryuje!...

— Co takiego?!

Szynkarz dodał w formie objaśnienia:

— Bo to była wielka grzesznica... Namówiła sobie starostę lanckorońskiego, który żonaty był i dzieci miał... Żonę jego wtrąciła do ciemnicy, gdzie starościna z męki okrutnej rozum postradała... A Dorotę zabili jej właśni bracia... Ale duch jej spokoju nie ma, ino ciągle zgubienia ludzkiego żąda...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wina i pokuta

2) (Z angielskiego).

— O! nie, ale Molly trwoży się o niego, i prosiła mnie, abym w czasie jej nieobecności — pilnie na niego uważał.

— Miss Molly wyjechała?

— Wczoraj do Manchesteru — do chorej przyjaciółki. I nie wiadomo kiedy wróci.

— Co cię pogrąża w bezdeń melancholii... Ale wytłomacz — jakim sposobem przyrzeczenie, dane miss Molly sprowadza cię tutaj w nocy pod teatr?

— Ponieważ przypuszczałem, że Henryk będzie tutaj oczekiwał na swoją ubóstwianą Alicyę... Byłem już u niego w domu, ale nie zastałem ani jego, ani lokaja... I w teatrze zdaje się, także go nie było...

— Niepotrzebnie trudziłeś się... O ile wiem, Thompson znajduje się obecnie na zgromadzeniu wyborczem liberalnego stronnictwa... chcą go bowiem wysunąć jako kandydata... Może zatem w tej chwili popełniać głupstwa tylko polityczne... A wszak to przed głupstwami miłosnemi miałeś go strzedz...

— Istotnie. Dawniej brat Molly był najspokojniejszym w świecie człowiekiem, ale od czasu, gdy Alicyi Belmore asystuje ten nabab z Indyi, ten Macmorris — Henryk jest poprostu nie do poznania... W napadzie szalonej, waryackiej zazdrości — gotów zrobić Bóg wie nie co.

— Na dzisiaj niema obawy. Możesz spokojnie iść spać.

— Wcale mi się spać nie chce. Tylko nie wiem co zrobić z wieczorem?

— W hotelu „Splendid" jest koncert na dobroczynność.. potem mają być tańce...

— Taką piękną letnią noc zmarnotrawić w dusznych salach? O! nie... przytem już mnie dzisiaj dosyć skarotowano... Musiałem kupić ze cztery tuziny kwiatków...

Hm!... w takim razie chodźmy pod „Zielonego Dęba" na butelkę wina.

— Zgoda.

Na werandzie doktór Larnings skierował się odrazu do swego faworytalnego okrągłego stołu w cieniu oleandrów, ale Thompson powstrzymał go.

— Do tego indywiduum nie możemy się przecież przysiąść...

Przy stoliku siedział już bowiem jakiś mężczyzna w eleganckim napczór, ale tandetnem i podniszczonem już ubraniu. Przed jegomościem owym stała już cała baterya opróżnionych butelek.

— Kto to taki?

— Robi wrażenie jakiegoś wędrownego komedyanta...

— Pijany jest jak bela...

— Musi mieć pieniądze, nie kredytują mu przecież!..

— Co nas to obchodzi!... Siadajmy zatem — o! tu...

Usiedli i kazali podać sobie wino. Doktór Larnings z widocznem upodobaniem rozlewał złocisty płyn w kieliszki.

— Uczciwy trunek podają w tej knajpie!...— No — zdrowie tych, którcyh kochamy!...

— Zdrowie miss Molly!... — i adwokat westchnął.

Doktór spojrzał na niego badawczo:

— Jakże stoi twoja sprawa z miss Morton?

— Ciągle jednakowo. Jeżeli Henryk osiągnie cel swoich zabiegów to i ja także...

— Więc wszystko w ręku Belmore?

— Tak jest. Jeżeli ona Henryka odtrąci, gotów się nigdy nie ożenić...

— A Molly?

— Nie opuści go! Brat i siostra kochają się niewypowiedzianie. Molly przysięgła matce, że nie opuści Henryka, dopóki nie będzie miał przy sobie swej kochającej towarzyszki...

— To wzruszające... Miejmy nadzieję, że Henryk Morton zdobędzie swoją ukochaną... On przecież chce się z nią naprawdę żenić, a Alicya Belmore znana jest ze swojej niezłomnej cnoty. Wiedzą przecież wszyscy, że księciu krwi królewskiej odpowiedziała: „Wasza Wysokość droga do mego serca prowadzi przez ołtarz".

— Szanse Mortona są mimo tego bardzo niepewne...

— Mówiono o tem ogólnie, że go wyraźnie wyróżniała...

— Tak! dopóki nie zjawił się ten Macmorris...

— Aha! ten z Indyi — magnat, milioner!... Oczywiście miliony zaważyły na szali.

— Nie uważam Alicyi Belmore — rzekł Thompson — za kobietę zdolną do powodowania się pobudkami niskiej interesowności... Lękam się czego innego.

— Mianowicie?

— Macmorris mógł rozbudzić w jej śpiącem dotychczas sercu pierwszą prawdziwą namiętność!...

— Sądzisz, że go kocha?

-- Lękam się, że tak jest istotnie.

— Wszakże Macmorris był szkolnym kolegą i przyjacielem Mortona?

— Tak jest i to Henryk nawet przedstawił go miss Belmore... Teraz przyjaźń skończona... To są dwaj rywale — śmiertelni wrogowie..

Dał się słyszeć hałas, gwar podniesionych głosów.

— Co się to dzieje? — zapytał Thompson — awantura jakaś czy co? To skandal w takim przyzwoitym lokalu!...

— Wyrzucają tego pijaka!...

— Powinniby to dawno zrobić!...

— Może to jaki wykolejony geniusz, może waryat... Dla lekarza to może być ciekawe. Przysłuchajmy się.

Zbliżyli się do stolika, w którego blat ów pijak walił pięścią, wrzeszcząc na kelnera:

— Słyszysz, niewolniku!... fagasie podły!.. powiedziałem!... szampana!...

— Naprzód niech pan ureguluje tamten rachunek!...

— Ach! ty kramarsko duszo!... ty sługo Mammona!... Czy ty wiesz, kto to jest Reginald Cund!... czy ty się znasz na sztuce!... ugnij czoła przed kapłanem sztuki, bo inaczej rzucę na ciebie przekleństwo i zgnijesz w tej podłej knajpie!... Szampana — słyszysz!...

Goście śmiali się głośno. Reginald Cumd do nich skierował teraz swoją przemowę:

— Śmiejesz się nędzny, bezduszny tłumie!... Bo nie wiesz, kto jestem!... Biedaka wyrzuciliby-ście za drzwi, ale ze mną musicie się teraz liczyć!...

— Dosyć tych bredni! — krzyknął kelner — albo pan zapłaci, albo wezwę policyi!...

Cumd zerwał się z krzesła.

— Co mówi ta nędzna służalcza kreatura?! — ryknął — czy tak się traktuje wielkiego artystę?!

Teraz wmieszał się w awanturę i sam gospodarz.

— Proszę natychmiast opuścić mój lokal!...

— Tu l'as vouhi, George Dandin! — wykrzyknął zachrypłym głosem pijak — w tej podłej spelunce nie postoi już moja noga!... .

— Ale przedtem zapłać, łajdaku!... — kelner przytrzymał go za ramię.

Reginald Cund z gestem nieporównanej dumy sięgnął do kieszeni swego wytartego żakietu i rzucił banknot wysokiej wartości na stół.

Gospodarz i kelnerzy zamienili spojrzenia. Wśród gości szeptano:

— To dziwak jakiś, oryginał.

— Naumyślnie się tak ucharakteryzował.

— Aby zakpić sobie z ludzi.

— Może to znakomity artysta?

— Albo waryat?

— W każdym razie ma pieniądze...

— Może fałszywe...

Kelner obejrzał banknot uważnie pod światło:

— Autentyczny...

Gospodarz silił się, aby swej zirytowanej fizyognomii nadać uprzejmy wyraz.

— Bardzo mi przykro, proszę pana — rzekł tonem usprawiedliwienia — ale szampana o tak późnej godzinie podać już nie możemy... zamykamy już..

Także kelner był zmieszany:

— Niech pan będzie łaskaw poczekać chwilkę. Zaraz wydam resztę.

Pijany gość wyprostował się o tyle, o ile to było możliwem w stanie, w jakim się znajdował. Spojrzał na kelnera z najwyższą pogardą:

— Nie potrzeba!... Ryszard Cumd nigdy nie zajmował się drobiazgami... Resztę — zostaw sobie jako napiwek!...

Zawstydzony, pełen skruchy gospodarz — usiłował sprowadzić swego osobliwego gościa po schodkach, prowadzących z werandy na ulicę, ale Ryszard Cumd odepchnął jego pomocnicze ramię.

— Precz!... Nie dotykaj mnie twemi plebejuszowskiemi rękami!... Ja grywam tylko książąt i królów!...

Będzie nam bardzo miło, jeżeli pan nas znowu zaszczyci swemi odwiedzinami.

— Ryszard Cumd, który szczęśliwie zszedł już z dwóch schodków — zatrzymał się.

— Słuchaj!... no ty!... tyś mnie obraził!.. Odtąd jesteśmy śmiertelnymi wrogami!... Zobaczymy się — na Filippi!..

Adwokat Thompson wziął towarzysza pod ramię:

- Chodźmy.

— Możemy. — Szkoda, że się to już skończyło!... Pyszny chłop!.

— Ma humor, ale to jakiś kabotyn.

— Albo filozof, który się maskuje. W każdym razie ma pieniądze.

— Kto tam wiedzieć może, komu je ukradł — zauważył sceptycznie Thompson.

Weszli w ulicę pogrążoną w mroku letniej nocy, rozświetlanym przez wązki, nieco zamglony sierp księżyca.

— Czy to willa Roberta Macmorissa — tutaj w ogrodzie — na rogu? — zapytał doktór Larnings.

— Tak jest. To jest właściwie willa nie jest jego własnością, ale wynajął ją od starego Crichtona...

— Przyznam się, że nie chciałbym mieszkać tak samotnie wśród samych ogrodów... O! teraz naprzykład widzę kolo parkanu jakieś nieco podejrzane indywiduum.

Adwokat wytężył wzrok, aby w świetle odosobnionych latarni — zobaczyć twarz owego rzekomo podejrzanego indywiduum.

Nagle chwycił doktora za rękę.

— Ależ to brat Molly!..

— Henryk Morton!

— Tak! on we własnej osobie!...

— Nie zauważył nas!...

— A tyś go wziął za nocnego włóczęgę czy opryszka!...

Ale co on tutaj robi w nocy?... Gdyby tak jeszcze krążył koło mieszkania Alicyi Belmore — to rozumiałbym... Ale w nocy koło domu swego rywala....

— Zawołajmy na niego! to najlepiej on sam wyjaśni... Henryku!...

— Panie Morton!...

Postać drgnęła, jakby nagle ze snu zbudzona.

— Dziwne doprawdy!... on nas wcale nie poznaje!... — rzekł Thompson.

Morton spoglądał przez chwilę bezmyślnie w przestrzeń, potem podniósł rękę do czoła, uczynił kilka chwiejnych kroków i zniknął na zakręcie ulicy.

— Zdaje się, że on swój ból miłosny utopił dzisiaj zbyt głęboko w kieliszku — zauważył Thompson i chciał pogonić za bratem swej ukochanej.

Doktór zatrzymał go:

— Daj mu spokój... Nie umiesz się obchodzić z chorymi...

— Morton przecież nie jest chory...

— Na mnie zrobił wrażenie człowieka w najwyższym stopniu zdenerwowanego, prawie nieprzytomnego...

— Rzeczywiście wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, gdy go zahypnotyzował ten Haired-din-bey...

— Jakto? to on zadaje się z tym hypnotyzerem?! To mi się wcale nie podoba. Na człowieka w stanie tak silnego rozdrażnienia nerwów, hypnotyzer może wywrzeć fatalny wpływ...

— Tego samego obawia się Molly... Ale cóż było robić? Henryk uparł się, abyśmy mu towarzyszyli do hypnotyzera, który odkrył w nim wyjątkowo podatne medyum...

— I cóż Haired-din-bey robił z Mortonem za eksperymenty?

— Wprawiał go w trans i suggerował mu rozmaite czynności?

— Które Morton dokładnie wykonywał? — dopytywał się mocno zainteresowany doktór Lornings.

— Tak jest. Z otwartemi oczyma, które nic nie widziały, chodził po pokoju i wykonywał wszystkie polecenia Haired-dina-beya!... Wkońcu padł na fotel — wyczerpany, jak bez życia — i dopiero wtedy hypnotyzer obudził go...

Doktór Lornings, który znalazł się właśnie przed swojem mieszkaniem, uścisnął przyjacielowi rękę na dobranoc:

— Zwracam ci uwagę, abyś nie pozwalał na podobne eksperymenty...

— Jakże mogę nie zezwolić? Henryk Morton jest przecież panem swej woli.

— Trzeba w jakiś dyskretny sposób przeszkodzić jego występom medyumicznym. Gdyby to trwać miało dłużej, jako lekarz nie ręczyłbym za nic!...

Przyjaciele rozstali się.

ROZDZIAŁ III.

Henryk Morton krótko bawił na zgromadzeniu wyborczem. Przybył tutaj z zamiarem postawienia swojej kandydatury, a gdy przewodniczący zebrania zapytał go, czy jednomyślnie prawie zatwierdzoną kandydaturę przyjmuje, odrzekł krótko i stanowczo:

— Nie!..

Zdumienie było niewypowiedziane, nalegano, aby Morton zmienił decyzyę, ale on odpowiadał tylko:

— Nie!... nie mogę!...

Pewien mglisty, a jednak wyraźny obraz w jego mózgu czynił jego postanowienie niezłomnem.

Od szeregu dni Henryk Morton widział przed sobą twarz Roberta Macmorrisa, jak gdyby narysowaną błękitnym ołówkiem w powietrzu. Twarz ta prześladowała go na jawie i we śnie, nie opuszczała ani na chwilę, co go niesłychanie denerwowało i niekiedy czyniło niezdolnym do jakiejkolwiek pracy.

Czyż w takim stanie nerwów mógł przyjąć odpowiedzialne obywatelskie stanowisko? Podziękował za okazane mu zaufanie i kandydaturę odrzucił.

Po opuszczeniu gmachu, w którym odbywało się zgromadzenie stronnictwa liberalnego Morton udał się prosto przed teatr, mając nadzieję, że uda mu się jeszcze zobaczyć Alicyę.

Trafił właśnie na chwilę, kiedy publiczność zaczynała opuszczać teatr. Przystanął za filarem, aby oczekiwać na zjawienie się Alicyi. Nie chciał, aby go widział ktoś ze znajomych. Zbyt dużo osób wiedziało o jego miłości dla pięknej artystki, o jego marzeniach i nadziejach, które rozwiały się w nicość, bo w życie Alicyi Belmore wszedł inny mężczyzna — zwycięski rywal!...

Zjawa twarzy Roberta stała się wyraźniejszą, intenzywniejsza... Ręce Henryka zacisnęły się... wargi mu drgały..

Jakby przez mgłę zobaczył niedaleko siebie swego Lokaja Johna, rozmawiającego z pokojówką Alicyi Belmore. Kilka oderwanych frazesów z ich rozmowy dobiegło do jego uszu. Młodzi mówili o swej przyszłości, Katty wspomniała o sowitem znaleźnem, jakie dostała od Macmorrisa, o jego majątku, a John dał wyraz swej zazdrości w stosunku do bogatszych.

Morton zrozumiał uczucia swego służącego. Ach! pieniądze!... te przeklęte pieniądze!... one to widocznie wywarły swój fatalny wpływ na czystą duszę Alicyi!.. Wszak dawniej sympatyzowała otwarcie z nim, z Henrykiem Mortonem!...

I trzebaż jego własnej głupoty!... Morton przygryzł wargę dolną tak silnie, że poczuł słodkawy smak krwi...

Przecież to on sam przedstawił Alicyi — Roberta Macmorrisa, swego przyjaciela i kolegę ze szkolnej ławy... Chciał się pochwalić przed przyjacielem swojem szczęściem, a tymczasem zdradliwy przyjaciel zapragnął tego szczęścia dla siebie!.. Wprawdzie Alicya jeszcze ani słowem nie potwierdziła, że kocha Macmorrisa, jeszcze ani razu nie oświadczyła Mortonowi, że jego miłość staje się dla niej uciążliwą, ale z każdym dniem stosunek jej do Mortona stawał się chłodniejszym, sztywniejszym, a natomiast znajomość z Macmorrisem coraz więcej się zacieśniała.

Nagle zjawa twarzy Roberta ustąpiła miejsca rzeczywistości. To żywy, realny, z krwi i kości Macmorris szedł obok Alicyi Belmore.

Morton skulił się za filarem, aby go przypadkiem nie dostrzegli...

Domyślił się, że Alicya zdąża do hotelu „Splendid", gdzie ma deklamować, a Robert odprowadza ją, może nawet będzie jej towarzyszył.

— I ja tam pójdę!... — postanowił.

Koncert połączony z wentą na korzyść szpitala dla dzieci zgromadził w salach hotelu „Splendid" najwytworniejsze towarzystwo. W pięknie przystrojonych kioskacch — młode eleganckie, urodziwe damy sprzedawały wina, szampana, owoce, kwiaty, papierosy, karotując swoje ofiary bez miłosierdzia.

W głębi sali znajdowała się mała scenka, na której przesuwali się recytatorzy, monologiści, śpiewacy, muzycy, tancerze.. Oczekiwano na Alicyę Belmore, która przyrzekła swój współudział w koncercie... Ale wbrew zwyczajowi swemu — odznaczała się zawsze ogromną punktualnością — artystka spóźniała się jakoś...

Publiczność nie zdradzała wszakże zniecierpliwienia — ponieważ uwagę powszechną zwracał na siebie Haired-din-bey, który popisywał się swojemi hypnotycznemi zdolnościami.

Twarz tego pseudo — Araba, przybranego w barwny strój oryentalny zajaśniała zadowoleniem, kiedy zobaczył wchodzącego do sali Henryka Mortona.

— Drogi panie! — zawołał — jak to dobrze, że pan przyszedł!... Nie odmówi pan przecież przysługi!... Proszą mnie o eksperyment, a wśród zebranego tutaj towarzystwa nie dostrzegam żadnego odpowiedniego medyum. Pan jest najlepszem medyum, jakie sobie wymarzyć można. Czy nie zechce mi pan poświęcić kilkunastu minut?

Morton w pierwszej chwili uczuł się niemile dotknięty.

— Jakto? jabym miał tutaj wobec tego całego towarzystwa..

Heired-din-bey wpatrywał się w niego przenikliwie swojemi czarnemi jak węgiel oczyma.

— Pan mi przecież nie odmówi?

Morton nie mógł się oprzeć dziwnemu wpływowi, jaki ten człowiek na niego wywierał.

— Więc zgoda? — nalegał hypnotyzer.

— Dobrze... — szepnął Morton.

Haired-din-bey wprowadził Mortona na estradę i usadowił go na krześle. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się hypnotyzer swym przenikliwym wzrokiem w medyum, wodząc jednocześnie palcami po jego czole, skroniach, twarzy.

Oczy Mortona zmieniały wyraz. Znieruchomiały, osłupiały, niby oczy trupa. Medyum odetchnęło głęboko, przycisnęło rękę do serca i głowa jego opadła na pierś niby we śnie.

Stracił świadomość tego, co się wokół niego dzieje.

— Rozbudzę w tym panu uczucie zazdrości — rzekł Haired-din-bey i państwo zobaczybie sami, jak wielką jest siła suggestyi.

— Panie, kocha pan kobietę... — zaczął.

Morton podniósł głowę. Po jego twarzy rozlała się fala jakiegoś ekstatycznego zachwycenia.

— Podejrzywa ją pan, że przekłada innego nad pana...

Rysy medyum ściągnęły się konwulsyjnym skurczem. Ręce zacisnęły się.

— Widzi pan swego szczęśliwego rywala obok ukochanej.. Co pan uczyni?

Jakiś gardłowy, nieartykułowany dźwięk wydobył się z gardła Mortona. Cała twarz drgała wściekłym gniewem. Ciało wyprężyło się jak do skoku.

Przez salę szedł szept:

— Dusi go...

— Co za wściekłość...

— Bezwątpienia — zabiłby go...

Donośny głos hypnotyzera zapanował znowu nad tym gwarem:

— Omylił się pan. Podejrzenie było nieuzasadnione. Ten człowiek nie jest pańskim rywalem. Proszę go puścić.

Medyum uspokoiło się momentalnie. Morton opadł znowu na krzesło, oddychając ciężko.

— Nadzwyczajne!... — podziwiano.

W tej chwili Haired-din-bey zapuścił aksamitną pluszową kurtynkę, aby za tą zasłoną przywołać zahypnotyzowanego do rzeczywistości.

W tej chwili powstał szmer:

— Belmore przyjechała!...

Artystka usprawiedliwiła się krótko z powodu swego opóźnienia.

— Jaka piękna!...

— Tylko bardzo blada dzisiaj!

— Właśnie z tą bladością jeszcze jej piękniej, a oczy jej błyszczą dziwnie...

Istotnie oczy Alicyi Belmore płonęły niezwykłym ogniem... Źrenice zdawały się nieco rozszerzone, a powieki chwilami drgały nerwowo...

ROZDZIAŁ VI.
Tajemnicza zbrodnia.

O świcie dopiero opuszczało wesołe towarzystwo hotel „Splendid". Panie pootulane w płaszcze i szale zamieniały żartobliwe uwagi z panami, prezentującymi w świetle brzasku swoje cylindry.

Tylko Alicya Belmore, która szła w towarzystwie hrabiny Covenshire i profesora Strafforda — była zadumana i milcząca.

— Czy jedziemy?

— Ależ poco? — protestowały panie — tak przyjemnie teraz!... możemy się przejść!... to tak dobrze robi!...

Nagle na zakręcie ulicy gromadka, do której należała również Alicya Belmore, zmuszoną była zatrzymać się. Zastąpił jej drogę tłum ludzi cisnących się jeden przez drugiego i żywo gestykulujących. Tłum ten zdawał się czemś być mocno wzburzony.

— Co się stało? — zapytał profesor Strafford — co to za zbiegowisko?...

— Morderstwo?!... zbrodnia!...

Profesor wytrzeszczył oczy.

— Ggzie? tutaj na ulicy?...

— Nie... tam w domu... w ogrodzie...

— Jakto? zamordowano ogrodnika?

— Nie!... nie ogrodnika, ale tego pana, co odnajmował willę...

— Tego bogacza, co to przyjechał niedawno z Indyi...

— Macmorrissa?!...

— Tak właśnie się nazywał!...

— Roberta Macmorrisa...

— Zamordowano go!...

Bolesny, przeraźliwy krzyk wstrząsnął powietrzem. Wszyscy obrócili głowy...

Trupio blada Alicya Belmore usunęła się zemdlona w ramiona profesora Strafforda.

— Ach! to Belmore...

— Biedaczka!... kochała go!..

— Tak!... tak!... przecież przez niego dała kosza Mortonowi...

W czasie gdy hrabina i profesor transportowali zemdloną artystkę do pobliskiej apteki — uwaga tłumu zwróciła się znowu w innym kierunku.

Przybyła komisya sądowa. Ale ciekawych, którzy chcieli wcisnąć się do wnętrza, spotkało rozczarowanie. Albowiem sędzia śledczy Ridder kazał zamknąć furtę ogrodową.

Następnie zapytał oczekującego nań u wejścia do ogrodu policyanta:

— To pan stwierdził morderstwo i dał znać policyi?

— Tak jest, panie sędzio.

— Jak to było? proszę mi opowiedzieć krótko.

— Wedle rozkazu panie sędzio. Patrolowałem tutaj na ulicy od drugiej godziny w nocy... Uderzyło mnie zaraz jaskrawe światło lampy willi w ogrodzie...

— I wkroczył pan?

— Z początku nie uważałem się za uprawnionego do tego. Przypuszczałem bowiem, że pan Macmorris...

— Więc wiedział pan kto tutaj mieszka?

— Oczywiście — przypuszczałem, że ten pan późno w nocy pracuje...

— Cóż dalej?

— W godzinę później zerwał się gwałtowny wiatr... Dojrzałem, że płomień lampy naftowej, która paliła się jeszcze ciągle, gwałtownie migocze... Widocznie wiatr otworzył niedomknięte okno...

— Nikt okna nie zamknął i lampy nie przykręcił?...

— Nie! to też widząc, że zachodzi obawa pożaru, obudziłem ogrodnika, który zaprowadził mnie do willi... I tutaj zastałem...

— Co?

— To, co pan sędzia widzi...

Policyant przekręcił klucz w zamku:

— Wszystko zostało jak było. Niczego nie ruszałem. Nawet lampa pali się jeszcze...

— Proszę ją zgasić. Już jest prawie jasno na dworze.

Policyant skręcił lampę, sędzia dopiero wówczas rozejrzał się po mieszkaniu.

Na wikwintnej, czerwonym pluszem krytej sofie znajdowały się zwłoki Macmorrisa nawpół siedzącej postawie. Głowa przechylona na poręcz. Prawa ręka wpiła się kurczowo w miękką materyę pokrycia, lewa wpadła na zbroczony krwią gors koszuli.

W pokoju znajdował się również, zawezwany uprzednio dr. Larnings.

— Czy śmierć stwierdzona, doktorze? — zapytał sędzia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

I do kalendarzowego lata wprawdzie jeszcze dość daleko, podniesiona temperatura przypomina jednak ojcom rodzin, że zbliża się czas, kiedy swoich najbliższych należy wysłać na świeże powietrze, aby tam, na łonie natury, mogli podratować swe zdrowie.

Łatwo coś podobnego powiedzieć, łatwo nawet i napisać, ale nieco trudniej w czyn wprowadzić jeśli się zwarzy, że drożyzna z każdym dniem wzmaga się coraz bardziej, a jest ona tak potężną, że uległ jej nawet nadwyczajny komisarz do nadzwyczajnego zwalczania jej nadzwyczajności p. Hartleb. i powiedziawszy sobie: „Nie da rady!...“ podał się do dymisyi opróżniając fotel, dość niewygodny, ale przy dzisiejszej drożyźnie mebli mogący znaleść łatwo nabywcę.

Przed wojną, gdy żyliśmy w warunkach dość opłakanych, które dopiero wojna miała naprawić, kiedy przeciętny inteligent umysłowo pracujący mógł sobie co niedzielę pozwolić na tradycyjne flaki, podlane odpowiednio piwkiem, a poprzedzone wódeczką, nie wydając na to więcej, jak guldena, który w budżecie domowym nie czynił zbytniej szczerby, można było także, rozporządzając jakiemiś dwustu koronami pozbyć się całej swej rodziny na przeciąg miesięcy wakacyjnych, zapewnić im odpowiednie mieszkanie i wyżywienie. Dziś warunki zupełnie zmienione, dzięki właśnie tej wojnie, która się widocznie pomyliła, miała bowiem stosunki naprawić, a tymczasem je zupełnie wykoszlawiła. Chcąc przy dzisiejszych swych dochodach, obliczonych na marki, pozwolić sobie na podobny wydatek, jak wysłanie rodziny na wilegiaturę, trzeba już w samym początku rozporządzać co najmniej okrągłym milionem, z którego jeśli rodzina jest liczniejsza, po opłaceniu kosztów podróży na miejsce pozostanie zaledwie tyle, iż wystarczy na zadatek na czynsz mieszkalny, a braknie już na opędzenie pierwszych potrzeb. Rozmaite władze ogłosiły wprawdzie komunikaty, iż czynsz za zwykły pokój w uzdrowisku lub letnisku powinien wynosić około dwieście tysięcy marek, na pociechę odnajmujących zostawiono im jednak otwartą furtkę do obdzierania bliźnich ze skóry w postaci tak sympaty znych „świadczeń dodatkowych“, znanych dobrze każdemu z własnego doświadczenia. Właściciele willi i pensyonatów mimo to narzekają, że dzieje się im krzywda, powołując się przytem na autorytet samego p. ministra Grabskiego, który powiedział, że dawnych sto koron austryackich równa się stu sześciu złotym polskim, złoty polski zaś trzy tygodnie temu, gdy marka polska nie robiła jeszcze tak bokami, jak obecnie, obliczano na ośm tysięcy marek. Każdy z nich powiada, że pokoju niżej korony dziennie nie byłby wynajął nawet i wtedy, kiedy bułka centówka kosztowała naprawdę dwa halerze i była wypiekana z prawdziwej mąki, a nie z tak zwanego przemiału, o którego składzie chemicznym wie jeden Pan Bóg, drugi młynarz, trzeci piekarz, a odczuwu go konsument, zjadłszy bułkę i zastanawia się, co mu też mogło zaszkodzić przy tak skromnem i hygienicznem odżywianiu się, jak obecne. Tem się także tłómaczy okoliczność, że niektórzy piekarze dodają zupełnie bezinteresownie do pieczywa karakony, aby bodaj w ten sposób przyjść z pomocą cierpiącej ludzkości i dać jej smaczne, a wzmacniające pożywienie.

Wracając jednak do właścicieli pensyonatów i pokoi do wynajęcia, płaczących na swą dolę, musimy mimo woli przyznać, że mają poniekąd racyę, bo w samej rzeczy nawet w przedwojennych czasach trudno było znaleźć pokój tańszy, niż korona dziennie, oczywiście w jakiejś bardziej renomowanej miejscowości, bo tam, gdzie świat deskami zabity w jakiejś Psiej Wólce lub pod Kozim Ogonem można się było z biedy ulokować taniej, miało się nawet tę przyjemność i korzyść, że się żyło w bezpośredniem zetknięciu z przyrodą, mając nad sobą dziurę w dachu, napływ świeżego powietrza przez wybite okna, bezpośrednie sąsiedztwo chlewika i nie potrzebując budzika, gdyż kogut już od północy wzywa mieszkańców, aby się gotowali do wstawania. Właściciel pensyonatu lub willi czekał cały rok na tę miłą sposoność, aby módz czerpać dochody ze swego przedsiębiorstwa, będącego w ruchu zaledwie przez kilka miesięcy, a mającego mu zapewnić utrzymanie na cały rok. Czekał cierpliwie, podobnie jak ta pluskwa w łóżku, która pozbawioną była przez całą zimę pożywienia, musi też przeprowadzić sumienną kalkulacyę, aby wyjść na swoje, a przytem uważać, aby nie wejść w konflikt z paragrafami ustaw, cierpliwymi także, ale od czasu do czasu dającymi się nieprzyjemnie odczuć interesowanym. Skoro zatem czynsz miesięczny nie daje pola do popisu, trzeba szukać innych środków ratunku, a tych pożałował dobroczynny pracodawca, prawdopodobnie sam także mający pokoje na lato do odnajęcia. Są to owe dodatkowe świadczenia za wszystko, z czego wynajmujący korzysta lub mógłby w danym wypadku skorzystać, właściwie zaś za nic, gdyż w gruncie rzeczy za drogie pieniądze nic w zamian nie dostaje. Nawet za łykanie świeżego powietrza musi się płacić, o ile ktoś lokuje się w jakiemś uzdrowisku lub letnisku mającem prawo ściągania z gości taksy klimatycznej.

Dojechawszy ostatecznie szczęśliwie z resztkami miliona na miejsce wakacyjnego spoczynku i znalazłszy mieszkanie, widzi się każdy letnik lub letniczka zmuszonym, ewentualnie zmuszoną do wysłania listu do swej rodziny, zatem żona do męża i to *express*, aby na gwałt przysyłał co najmniej znowu milion, gdyż gotówka jest już na wyczerpaniu, a drożyzna w danej miejscowości jeszcze większa niż w Krakowie, czemu się i dziwić nie można, jeśli się zważy, że nasi poczciwi kmiotkowie odznaczali się zawsze bardzo czułem sercem, ale tylko względem siebie samych, ponadto, że w zdrojowisku lub uzdrowisku gromadzą się przedstawiciele nowoczesnej plutokracyi, mającej na to, aby dogodzić grzesznemu cielsku, nie żałujących sobie niczego, podbijających zatem ceny, byle tylko zdobyć to, czego się im zachciewa. Kmiotkowi w to graj, na takiem wzajemnem przelicytowywaniu się letników wychodzi na tem najlepiej jego kieszeń, otrzymując nieraz kilkakrotną wartość tego, co „łaskawie raczy sprzedać“, aby zaznaczyć, że kmiotek wie dobrze, iż letnik skazany jest na jego łaskę i niełaskę z racyi konieczności odżywiania się i każe sobie za to odpowiednio płacić, nie oglądając się na jakieś tam „dodatkowe świadczenia“, których on nie uznaje.

Jeśli zatem owego biednego małżonka stać na to, aby swej połowicy wysłał znowu milion, mający jej wystarczyć bodajby na dwa tygodnie, sam traci na humorze, nie rozporządzając odpowiednią gotówką i nie mogąc wobec tego wyzyskać należycie z takiem utęsknieniem oczekiwanego niegdyś okresu słomianego wdowieństwa. Gdy się dawniej letnią porą spotkało w mieście mężczyznę o wesoło uśmiechniętej twarzy, wyrażającej pełną swobodę i zadowolenie z życia, było się pewnym, że to mąż, który wysłał żonę na świeże powietrze i okupił sobie wolność kilkuset koronami, dziś, spotkawszy w tym okresie jegomościa z nosem spuszczonym na kwintę, mógłbyś przysiądz i z pewnością nie pomylisz się, twierdząc, że to słomiany wdowiec, które żona restauruje zdrowie na świeżem powietrzu, a on traci swoje w oczekiwaniu na list od niej z żądaniem, aby przysyłał pieniądze i to zaraz, jeśli nie chce, aby poszły w niwecz skutki dotychczasowej kuracyi.

W takich warunkach o wyjeździe na świeże powietrze myśleć może każdy, tylko nie inteligent umysłowo pracujący. Na taki zbytek pozwolić sobie mogą pracujący fizycznie, ewentualnie wolne zawody, t. j. paskarski i lichwiarski, o ile są w samej rzeczy wolne, t. j. nie siedzą jeszcze w kryminale, ale tam tak znów łatwo dostać się nie można.

Ponieważ skutkiem tego ogromna większość Krakowian, dawniej na lato opuszczających miasto, pozostać musi w jego murach, magistrat, a raczej rada miejska dochodzi do przekonania, że Kraków jest również miejscem klimatycznem i kąpielowem mając Błonia, Wisłę, Rudawę i łazienki, wobec czego sekcyą skarbowa rady miejskiej ma zamiar na najbliższem posiedzeniu plenarnem postawić wniosek aby każdy Krakowianin, pozostający przez lato w Krakowie, obowiązany był do składania w kasie miejskiej taksy klimstycznej, oczywiście w złotych polskich, aby w ten sposób przysporzyć miastu nowych źródeł dochodu. Jakieś tam pięć złotych miesięcznie od osoby to przecież nic, jeśli się zważy, że świeżego powietrza może łykać ile chce, wolno się kąpać, a nawet utopić we Wiśle, a przytem należy pamiętać, ile się to oszczędziło, pozostając na miejscu, na zdrowiu, majątku i t. d.

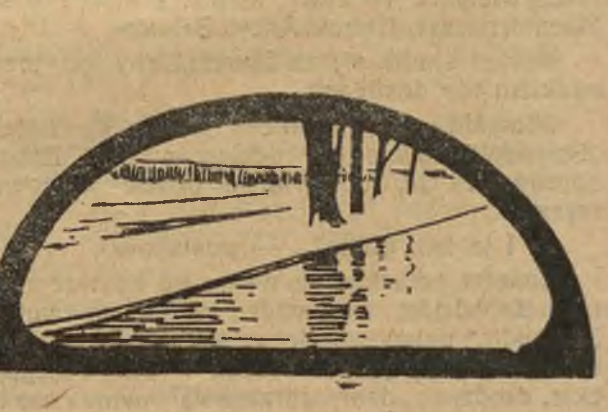
Ostatnie dni maja były prawie kanikularne, kto zatem wie, czy nie spełnią się przepowiednie meteorologów, że na rok bieżący przypada faza tropikalnych upałów, powtarzających się co lat sześć. Dla mieszkańców miasta niezbyt miła perspektywa, nie trzeba zapominać bowiem, że już dzisiaj, w samych początkach cieplejszej pory, wodociąg aż nadzbyt często odmawia posłuszeństwa czyniac wrażenie astmatyka dmuchającego i to tylko z trudnością. W miarę im będzie cieplej, tem będzie i gorzej, lato zatem nie przedstawia się dla przeciętnego śmiertelnika zbyt ponętnie, i ze łzą w oku wspomina te dawne, przedwojenne czasy, gdy nawet taki chudopachołek, jak on, mógł sobie pozwolić w czerwcu na świeżą sałatkę ze śmietaną, kurczęta z mizeryą, nowe ziemniaczki i t. p. specyały, dziś wyłączny przywilej multi-miliarderów, bo nawet milionerzy, których się u nas dość namnożyło, są od nich absolutnie wykluczeni.

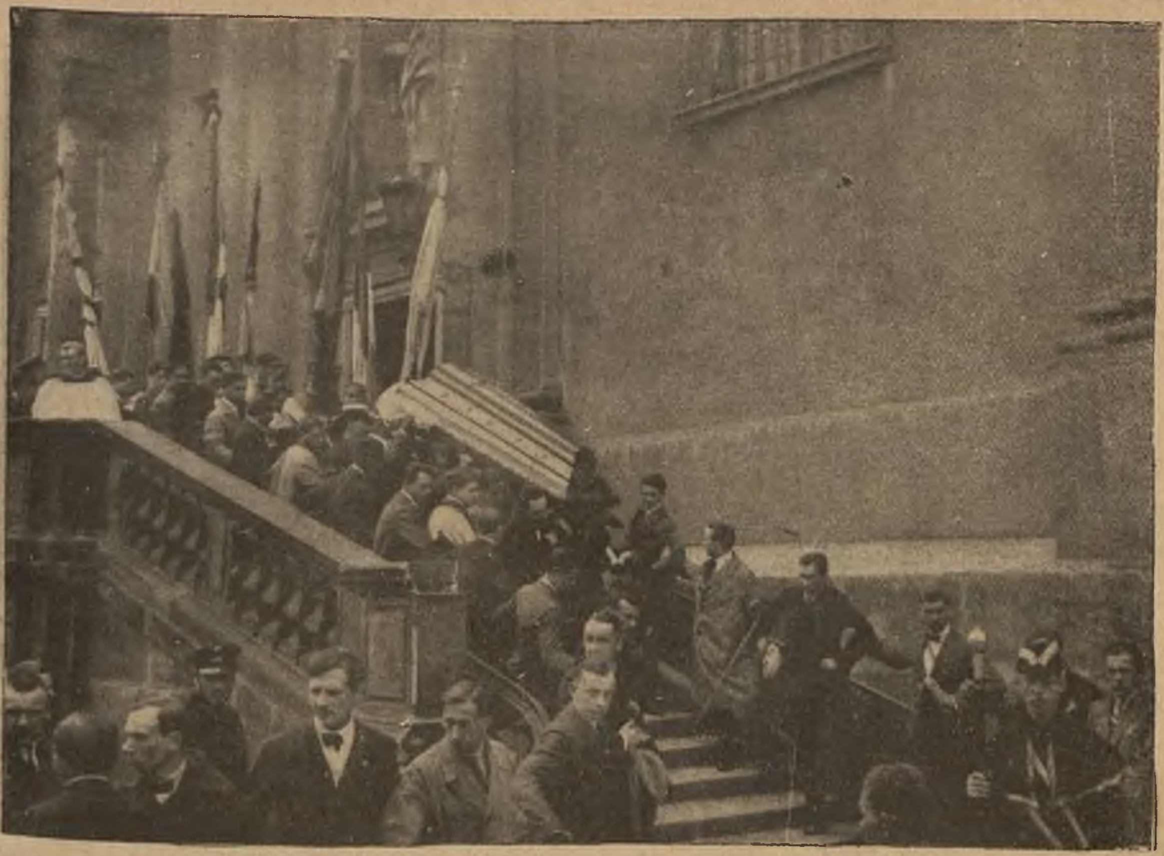
Skoro lato tak się miło zapowiada, nic też dziwnego, że człowieka ogarnia zniechęcenie do życia i wszystkiego, mającego z niem jakikolwiek związek, zatem polityki, bomb, parlamentarnej większości i t. p. spraw, które dawniej żywo nas zajmowały. Mamy nareszcie większość parlamentarną i oparty na niej gabinet Witosa ale jakoś się z tego nie cieszymy, być może także i dlatego, iż nie wiemy jeszcze, czy ona jest dość silną i w samej rzeczy można się na niej oprzeć.

Na chwilę zaelektryzował nas groźny gest angielskt, skierowany przeciw Rosyi sowieckiej, rezultat pokazał przecież, że było to tylko kiwanie palcem w bucie. Smutno dotknęła nas wiadomość, nadesłana z Warszawy, że władze centralne lekko traktują Kraków stale i konsekwentnie, co ujawniło się także z okazyi bomb. Za krakowskie wybuchy zdecydowano się wyznaczyć nagrody raptem milion, a potem dopiero trzy miliony. W Warszawie pierwsza oferta wynosiła pięć milionów, druga dwadzieścia. Był też skutek, podejrzanych o zamachy zamknięto we Warszawie, krakowscy jakoś nie mają zamiaru się zgłaszać, widocznie czekając na podwyższenie nagrody.

Swoją drogą, przyznać trzeba, że warszawskie bomby. były skuteczniejsze od krakowskich, musiały też być wyżej ocenione, w międzyczasie spadła także wartość marki polskiej, co jednak nie wyklucza, że w rezultacie może się pokazać, iż warszawskie doniesienia o ujęciu bombiarzy były tylko czczą przechwałką, z doniesień pism codziennych wnioskować bowiem można, że się śledztwo komplikuje, co w słowniku urzędowym jest tylko delikatniejszem wyrażeniem zamiast: „policya była na mylnym tropie“.

Czekamy na wykrycie krakowskich zamachowców, możemy zatem poczekać i na wykrycie warszawskich.





Manifestacyjny pogrzeb ofiary zamachu w Uniwersytecie warszaw.: Akademicy wynoszą trumnę ze zwłokami ś. p. prof. Orzęckiego z kościoła św. Krzyża. (Do art. na str. 2.). Fot. Ajencya fot. Warszawa.

trudności, ale za to mąż ma spokój w domu, gdyż małżonka staje się z konieczności małomówną.

Wiadomości o tych egzotycznych „pięknościach" nadesłał do Europy wraz z fotografiami dr. Muraz, szef francuskiej ekspedycyi lekarskiej, badającej wnętrze Afryki.

Niezwykły siłacz-zapaśnik.

W Jarosławiu odbyły się niedawno zapasy atletyczne, w których odznaczył się p. Stefan Balicki swą muskularną budową i siłą. Produkcye, które wykonywał, wprawiły ogół w zdumienie. P. Balicki rozrywa łańcuchy grubości 7 milimetr., gnie sztaby żelazne (okrągłe 1 i pół cala grub.) w zębach, rafy żelazne okręca na swojem przedramieniu, robiąc z nich sprężynę, wbija gwoździe 6 calowe w deskę 5 cm. grubości pięścią i rozbija kamienie na swych piersiach o wadze minimum 200 klg. Również w walce francuskiej odznaczał się nadzwyczajną zwinnością i dobrą techniką.

Zaznaczyć należy, że p. Balicki jest byłym Legionistą a obecnie inwalidą bez nogi, którą stracił na rosyjskim froncie pod Jazdkowem. Pomimo swego kalectwa bierze czynny udział w zapasach wykazując wielką siłę i sprawność.

Zbliżenie Francyi i Watykanu.

Nawiązane niedawno na nowo stosunki między urzędową Francyą, a Stolicą Apostolską stają się coraz serdeczniejsze i ściślejsze. Rząd francuski idzie po myśli Kuryi watykańskiej, ludność francuska okazuje coraz większą żarliwość religijną, która przed laty zyskała Francyi miano „najwierniejszej córy Kościoła".

Na terenie francuskim zawiązało się Stowarzyszenie celem szerzenia wiary katolickiej, z siedzibą w Paryżu i Lyonie, a według statutów zatwierdzonych przez zmarłego papieża Benedykta XV. Na życzenie obecnego papieża Piusa XI. przeniesiono radę jeneralną tego Stowarzyszenia do Rzymu, poddając ją bezpośredniej ingerencyi św. Kongregacyi Propagandy i przyznając jej w ten sposób wszechświatowy charakter. Uroczystość instalacyi Rady Jeneralnej odbyła się przed niedawnym czasem w Rzymie w obecności Papieża i jego dworu. Stowarzyszenie rozpoczęło równocześnie swą działalność, rozszerzoną obecnie na wszystkie części świata.



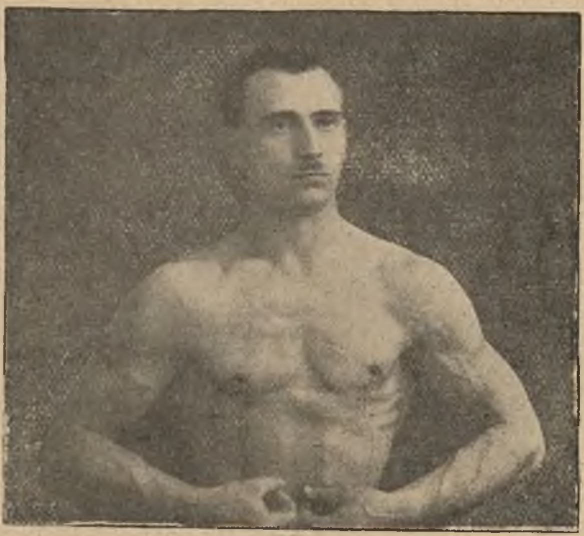
Z bolszewickiej Rosyi: W dniu 1. maja na Newskim Prospekcie w Petersburgu.

Egzotyczne „piękności".

Dla Europejczyka, podziwiającego harmonię budowy ciała w myśl klasycznych wzorów, z których jednym jest posąg Wenus milońskiej, niezbyt uroczo przedstawią się zamieszczone obok podobizny kobiet, należących do murzyńskiego szczepu Saras-Djinges, zamieszkującego bardzo mało dotąd znane okolice w głębi Afryki, na południe od jeziora Tsad. Ludność ta, stojąca na bardzo niskim stopniu rozwoju kulturalnego, wyznająca fetyszyzm, pielęgnuje troskliwie u siebie zwyczaj upiększania w sztuczny sposób swojego ciała, oczywiście w myśl praktyk, mających prawo obywatelstwa w najdalszych zakątkach świata, dokąd cywilizacya nowoczesna nie miała jeszcze czasu dotrzeć. Jednym z nich jest tatuowanie i nacinanie skóry, innym, dodającym wdzięku płci pięknej, jest rozszerzanie w sztuczny sposób warg ust do niebywałych nieraz rozmiarów przez wpuszczanie w nie drewnianych krążków, w następstwie czego usta pięknej Murzynki stają się podobne do szerokiego a płaskiego dzióba, im on zaś jest potworniejszy, właścicielka jego liczyć może na tem większe wzięcie u tamtejszych kawalerów. Wobec takiego zdeformowania ust jedzenie i picie sprawia wielkie



Zbliżenie Francyi i Watykanu: Posiedzenie przeniesionej do Rzymu Rady Jeneralnej francuskiego Stowarzyszenia dla szerzenia wiary.



Niezwyky siłacz-zapaśnik: Stefan Balicki.



Rozstrzelanie mordercy w Krakowie: Bandyci Syguła i Żurek na posterunku policyi państwowej w Olkuszu.

Rozstrzelanie mordercy w Krakowie.

W ubiegłym tygodniu w piątek 1. b. m., sąd doraźny wojskowy w Krakowie rozstrzelał na podwórzu więzlennem Stanisława Sygułę, kanoniera 6 P. A. P., który dnia 7 maja w lesie koło Golerowic, w pow. Olkuskim, zamordował żandarma krakowskiego Heleniaka.

W czasie prowadzonych dochodzeń wyszło na jaw, że Syguła wraz z niejakim Żurkiem dokonali z dnia 16 na 17 z. m. olbrzymiego włamania na szkodę Przechadzkiej, właścicielki sklepu galanteryjnego w Olkuszu. Zrabowali oni towar na przeszło 30 milionów mk. Następnie łup swój ukryli na łąkach.

Aresztowanie Syguły nastąpiło w Krzywopłotach dnia 21 maja nad ranem — w chwili, gdy Syguła upojony alkoholem przez gospodarza Krzywdę — spoczywał na strychu na sianie. Żandarmerya i policya otoczyła kordonem dom Krzywdy — a następnie żandarmi: Żak i Jakóbczyk weszli na strych, gdzie dokonali aresztowania Syguły.

Rycina nasza przedstawia Sygułę i Żurka skutych w kajdanki — na post. polic. państwowej w Olkuszu.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.



Egzotyczne piękności: Elegantka ze szczepu murzyńskiego Saras-Dżinges podczas jedzenia.







Egzotyczne „piękności": Kobiety z murzyńskiego szczepu Saras-Dżinges, z rozszerzonemi sztucznie wargami.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Zofia Florczykówna, Katowice.



Dunia Cahanesco, Kutno.



Janina Szczupakówna, Rzeszów.

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Pseudonim „Wiosna", Lwów.

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych", Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow." **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych".** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych", 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych“ do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis): ....

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie) ....

Miasto (ostatnia stacya pocztowa) ....

Ulica .... Nr. ....

OGŁOSZENIA

Dr Witold Lipiński

ordynuje w chorobach
-- skórnych --
i wenerycznych
Aleja Mickiewicza L. 14.
(róg ulicy Czystej)
od godz. 2—5 popoł

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

Wacław Grabiański

Niedyskrecje księżyca

(humoreski)

Strażniczki cnoty. — Fuszer. — Inny departament. — Tajemnica letniej nocy. — Przygoda samobójcy.

Cena zasadnicza 0.50.

Tegoż autora:

Wojenny balonik 1.— Przesilenie 1.— Rymy i proza 1.50 Piekło 2.50 Dwie nowele 0.50

Mnożnik — ustalony przez Związek księgarzy-wydawców w Warszawie.

Gebethner i Wolff, Kraków.

Stanisław Hachaj

ul. św. Tomasza l. 9.

Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecięcego.

Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.

Zakład techniczno-dentystyczny

N. KLEINBERGERA

Kraków, Szewska 27 I p. (narożnik plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

DO SPRZEDANIA

Lustro z konsolą
2 szafki nocne
2 stoliki na kwiaty.

Wiadomość: ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Istniejący od lat dwudziestu

Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców

Stowarz. zarej. z ogran. poręką.

w Krakowie, Floryańska 7.

przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. — Suknie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materałów na kostyumy męskie i na damskie.

Pończochy damskie w wielkim wyborze gatunków i kolorów

Skarpetki męskie i dziecinne

Koszulki kolorowe dla dzieci

Rękawiczki damskie, męskie niciane

Przybory do szycia, nici jedwabie, bawełny, góziki, koronki, hafty, wstążki

Perfumy, mydła,

poleca firma

E. Ostaszewski E. Meyer

w Krakowie, Rynek L. 5.
— Filja w Zakładzie kąpielowym w Rabce. —

FIRANKI, PORTJERY I KAPY NA ŁÓŻKA

poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35

Materyały wełniane!!

na suknie i kostyumy damskie,
na ubrania męskie
płaszcze i raglany.
Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony
wszystko w wielkim wyborze
i po cenach konkurencyjnych
poleca

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).



Specyalny skład
i pracownia wózków dziecięcych

J. BOTWIN

Kraków, ulica Floryańska L. 30.

Księga pamiątkowa wielkiej wojny

jest do nabycia w Admin. „Nowości Illustr.“.

REKLAMA

jest najlepszym środkiem do rozwoju
HANDLU i PRZEMYSŁU

Żądajcie pocztówką, nasz najnowszy cennik wszelkiego rodzaju manufaktury, Ekspedycji przesyłek pocztowych „Nadzieja“ w Łodzi ul. Kilińskiego 40/B.K., który natychmiast będzie wysłany zupełnie bezpłatnie i przyniesie Sz. P. dużo korzyści.

NAJSTARSZA w MAŁOPOLSCE PRACOWNIA DLA NAPRAW MASZYN BIUROWYCH, POLECA I SPRZEDAJE MASZYNY DO PISANIA SWIATOWEJ SŁAWY Ideal

W. KEYHA MECHANIK, KRAKÓW, UL. FLORJAŃSKA 3.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.